

# POTRZEBNA

# TEATROWI

## ROZMOWA Z RYSZARDĄ HANIN

— Czy bywają chwile na scenie, kiedy Pani „zatraca się” w roli?

R.H. — Nie. To byłoby jakimś odchyleniem od normy psychicznej. Zawsze istnieje to oko kontrolne, które każe oddzielać siebie od postaci granej.

— A czy istnieją momenty, gdy silna osobowość postaci scenicznej, w którą Pani się wciela, przytłacza własną Pani osobowość?

R.H. — W każdej roli podporządkowujemy się indywidualności osoby, którą gramy. To nie znaczy jednak, że rezygnujemy z własnej indywidualności. Wręcz przeciwnie, apelujemy do niej, czerpiemy z niej „soki”, wyzwalamy z siebie te cechy, które najlepiej służą danej postaci. Aktor, który nie jest silną osobowością nie może być dobrym aktorem.

— Czy nigdy nie pragnęła Pani pozostać w jednej z ról przez siebie granych?

R.H. — To pytanie zahacza raczej o dziedzinę fantastyki. Więc pofantazjujemy. Często chciałoby się znaleźć w takiej czy innej sytuacji, w jakich znajdują się moje bohaterki, ale nigdy nie potrafiłabym zrezygnować z własnych, tylko moich, specyficznych możliwości przeżywania tych sytuacji. Rezygnacja z własnego „ja” jest pewnego rodzaju samobójstwem. A poza tym nie chciałabym się pozbawiać najradośniejszego elementu aktorstwa: poczucia, że to ja właśnie stworzyłam tę postać.

— Czy mógłby istnieć powód, dla którego by Pani zrezygnowała ze swego zawodu?

R.H. — Podczas okupacji, gdybym już wtedy była aktorką, na pewno nie grałabym, tak jak zresztą nie grał żaden szanujący się aktor polski.

— A teraz?

R.H. — Trudno mi o tym mówić. Chyba mogą się zdarzyć różne sytuacje w życiu, które dyktują i tak drastyczne decyzje. Ale na pewno zrezygnowałabym z zawodu, gdybym czuła się w nim niepotrzebna, bo nie teatr mnie, lecz ja jemu potrzebna być muszę. Nie mogłabym, na zasadzie niekochanej, trzymać się kurczowo obiektu swojej miłości. Ciężko i przykro być pariasem w swoim zawodzie. Muszę zresztą przyznać, że był w moim życiu taki moment, gdy w wyniku owego, jakże typowego w naszym zawodzie prawa przypadku, nie grałam prawie wcale. Wiele ról, które były wówczas odpowiednio dla mego wieku i które czułam, że mogę zagrać, musiały siłą faktu ominąć mnie już raz na zawsze. Wiedziałam jednak, że nie wolno mi się zatrzymywać, że nie wolno szukać samoobrony w malkontenctwie. Zająłam się więc sprawami paraaktorskimi: zdałam egzamin reżyserski, opracowałam snoro wieczorów, recitali poetyckich

**Dokończenie na str. 6**

## Dokończenie ze str. 1

itd. Ale były w tym moim złym okresie chwile, gdy poważnie zastanawiałam się nad „przekwalifikowaniem się”; sądzę, że byłabym na przykład niezłą pielęgniarką.

— Co Pani sądzi o talencie w zawodzie aktorskim? Czy znaczy najwięcej?

R.H. — Proszę pani, na „talent” składa się wiele czynników, a przede wszystkim dyspozycje i żmudna praca. Dyspozycje są niezbędne. Można nauczyć kogoś takiej czy innej metody pracy, można wprowadzić w zakres zagadnień technicznych, ale bez wrodzonych dyspozycji, nawet przy największej pilności, rezultaty będą mierne. Chyba we wszystkich zawodach sytuacja przedstawia się podobnie. Najważniejsze, by w swoim życiu trafić na właściwą sobie dyspozycję, a wtedy praca staje się radością. W przeciwnym razie — złem koniecznym.

— Jak Pani ocenia prognozy co do przyszłości teatru?

R.H. — Nie jestem teoretykiem ani futurologiem teatru. Uważam, że w istniejących już konwencjach teatralnych, od klasycznych aż po awangardowe, kryje się jeszcze wiele niewyczerpanych możliwości, czekających na wyobraźnię, inwencję twórców. I mam nadzieję, że w tych realizacjach znajdzie się może małe miejsce i dla mnie.

# POTRZEBNA

# TEATROWI

— Czy w trakcie pracy z młodzieżą teatralną zauważa Pani coś szczególnego, oczywiście chodzi o stosunek do spraw przyszłego zawodu.

R.H. — Uważam, że nasza młodzież jest bardzo wartościowa. Cenię sobie pracę z nią. Ale mam do niej pretensję: jest bierna, traktuje siebie jedynie jako materiał do uczenia. Brakuje mi w pracy jakiegoś wewnętrzznego buntu z ich strony. To, co się rodzi w pracy, rodzi się bez oporów, bez jakichkolwiek sprzeciwów, odnoszę wrażenie, że nieraz mam do czynienia z plasteliną podatną na wszelkie formowania. I o to miałabym do nich pretensję.

— Co najbardziej imponuje Pani w kobiecie współczesnej?

R.H. — Chyba to, że z takim samozaparciem płaci haracz za swoją emancypację.

— W jakiej roli zobaczymy Panią w najbliższym czasie?

R.H. — W filmie Stanisława Barei „Spokojny człowiek” według scenariusza Andrzeja Mularczyka oraz w



„Nocach i dniach” Marii Dąbrowskiej w reżyserii Jerzego Antczaka.

— Czy można wiedzieć w jaki sposób definiuje Pani szczęście?

R.H. — Szczęście?... Chyba wystarczy choć trochę świadomości, że się jest komuś naprawdę potrzebnym? A czy jednemu człowiekowi, czy wielu ludziom — to już chyba mniej ważne. W którymś ze swoich wierszy Tadeusz Różewicz napisał po prostu:

*człowiek mówił do wody  
mówił do księżyca  
do kwiatów deszczu  
mówił do ziemi  
do ptaków  
do nieba  
milczało niebo  
milczała ziemia  
jeśli usłyszał głos  
który płynął  
z ziemi wody i nieba  
to był głos drugiego człowieka.*

Rozmawiała HALINA MURZA-STANKIEWICZ